MYŚL POLSKA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

TADEUSZ BILIŃSKI.

EPIPSYCHIDION.

Czuję Cię Duchu w piersi mych osłonie,
Czuję Cię Wielki, Nieśmiertelny Duchu!
Wiem, że Ty kiedyś w jasności robronie
Wzniesiesz się w przestwór Bezczucia, Bezruchu.

Tyś jest mych uczuć wzorzystym kobiercem,
Ty ból mój słodzisz, co piersi rozpiera,
Tyś jest mem wielkiem gorejącem sercem,
Co swe komnaty marzeniom roztwiera.

Bądź więc pochwalon, w nicości poczęty,
Ty, co w zaświatów uniesiesz się kraje,
I gdzie się błąkać będziesz, Wielki, Święty,
I gdzie przeżywać będziesz uczuć maje.

Ty żyć wciąż będziesz, lecz życiem Przyrody,
Jakby zaklęty w potęgę jej Mocy,
Ty jej ożywiać będziesz wichry, wody,
Ty będziesz ciszą jej lipcowych nocy,

Mgłą jej oparną i traw będziesz tchnieniem,
Brylantem rosy, białym płatkiem śniegu,
Drżącym księżyca bladawym promieniem
I nenufarem na jeziora brzegu.

Feliks Bryk.

W PRACOWNI HENRYKA de GROUX.

„Wszystko co wstrętne jest flamandzkie“ mówił już Pacheco, teść Velasqueza, ten hiszpański Vasari XVII wieku. Coby od dopiero powiedział teraz, gdyby znał nową sztukę belgijską? Gdyby widział monumentalne obrazy zgrozą przejmującego Wiertza, tragiczne, smutkiem ogarniające sceny Karola de Groux (ojca) psychopatologiczne pornografie Kopsa, chorowite anemiczne postacie Khnopfa lub ilustracye do Maeterlincka Dondeleta? Gdyby czytał mistyczne wiersze Rodenbacha lub Verhaerena lub sztuczną powieść szukającego w celi samotności i ukojenia Huysmansa? Gdyby słyszał dreszczem przejmujący skon Tintagila w letargu znajdującego się Maeterlincka? Gdyby na chwilę wstąpił do pracowni de Groux? Czy ci dwaj zapaśnicy — siłacze: zmysłowy Rubens i cyklopowy Meunier wyssali do szpiku całą zdrowotność tego kraju, Jana van Ruysbroeka, że pozostawili mu tylko estetyczny ekstrakt zwyrodnialej chorej sztuki?

* * *

Pracownia Henryka de Groux znajduje się na „piazza Donatello“ na jednym z najoryginalniejszych rynków, jaki sobie tylko wyobrazić można, właśnie dlatego, że w środku nie sterczy żaden stereotypowy pomnik lub okazały gmach, olbrzymi kościół lub niesmaczny wodotrysk; tylko w ciemno-zielone cyprysy strojny stary cmentarz wznosi się w środku. Otoczony grubym murem robi na widzu przygnębiające wrażenie, nastraja go na smutne, ale mimoto wzniosle uczucie, podobne jakie w nas budzi wyspa umarłych Boecklina. Z pewnością cmentarz ten i z wyglądu zewnętrznego przypominający ogromnie wspomniany obraz wywarł na Boecklinie silne wrażenie, bo go natchnął głęboką myślą namalowania tej elegii. Nadaremnie szukają w lupę mierności zbrojni krytycy, — ci eunuchowie w haremie sztuki, — jak się jeden z moich znajomych wyraził modelu do owej kompozycyi w wysepkach morza Śródziemnego lub jeziora Maggiore; daremnie, bo mają go przed nosem, bo właśnie to miasto śmierci, otoczone wieńcem kamienia, tworząc wyspę, odcinającą się jaskrawo od hucznego życia miejskiego, nasunęło mu swoim posępnym wyglądem tę myśl, ilekroć Mistrz z Florencyi wracał do swej pracowni, na pagórku San Domenico się znajdującej.

Ten plac, zdaje się, jakby był stworzonym dla sztuki de Groux'a? Tu mistyk ten pracuje, tu maluje swe kompozycye dręczonej, zwyrodniałą fantazyą duszy.

Wstąpiłem do przybytku Apollina, bo tem jest dla mnie każda pracownia artysty. Tu zupełnie inaczej, aniżeli na wystawie można obraz zrozumieć i odczuć, bo całe otoczenie dostraja się do niego. Kto więc chce spokojnie wpatrzeć się w dzieło artysty, niech do pracowni pójdzie — tam go natłok zgromadzonych różnostylowych — bo od różnych indywidualności pochodzących — obrazów raził nie będzie, tam znajdzie sanctuarium jedności harmonijnego zlania się obrazu z otoczeniem oglądającego, tam zobaczy — kolebkę obrazów.

Całe ściany zawieszone olbrzymiemi płótnami. Pierwszym, krórego chciwe oglądania oczy moje spostrzegły był „Neron". Temat to nie nowy, a zwłaszcza dziś w modzie. Ale tej zgrozy tego artysty — tyrana może nikt tak nie odczuł jak Henryk de Groux.

Sadystyczny ten imperator, któremu w cyrku umierający ślą jeszcze pozdrowienia groźnem ogiem spogląda na krwią opojone bestye. Na tle łuny palącego się Rzymu oświetlona jego postać. Włosy nam się jeżą na widok takich okropności. A Neron? On patrzy. Patrzy z rozkoszą mięsożernego patrona, bez litości — bez miłosierdzia — na ten dramat męczarni wijących się od bólu ofiar chrześciańskich.

Odetchnąłem. W tem zatoczył się przedemną nowy obraz. Zbrodniarz Orestes ścigany przez tłumy wężowatych furyi ukrył się w ołtarzu Pallady. Zda się, że ten tłum mścicieli unoszących się za ofiarą zbrodni w kawał ją rozedrze. Ze wszech stron słychać wydobywające się z krtani: „zabiłeś, zabiłeś — więc zemsta".

W układzie kompozycyi obraz ten przypomina Napoleona w piekle — Antoniego Wiertza. Tam Napoleon — tu Orestes — tam wściekłość matek spowodowana bólem tylu nieszczęść, tylu strat o pomstę wołających Erynii.

Naraz zwróciłem oczy na *Dantego.* Z anielskim wyrazem zachwytu patrzy boski poeta na widzenie w rydwanie, który ciągną skrzydlate orły unosi się jako królowa niebios Beatrycza.

Oczy me pracowały może więcej od mózgu coraz to na innych spoczywając obrazach.

Tu asceta Savanarola przed tłumem zmysłowych, rozpustnych Florentyjczyków i jego martyryum na placu „Signoria" — nagroda za jego fanatyczne kazania.

Tam widnieje znów Cezar. Na czele legionów kroczy na białym rumaku. Nikt mu nie stawia oporu. Czy on wyprawia się do butuej Gallii, aby podbić sąsiednich barbarzyńców? Czy już wraca i przekracza Rubikon, aby z rywalem się rozprawić? Tyle wiem, że w małym tym obrazie wionie duch legionowy, siła pramocy, karności i poświęcenia. Wszyscy życie gotowi poświęcić. „Widziałem już w Krakowie w zbiorze Jasieńskiego kilka pańskich litografij" odzywam się za chwilę do

tego dziwaka: „Jedna właśnie z nich ten straszny gaj w jesieni, którego jedynem uliścieniem jest całe towarzystwo wisielców, wbiła mi się w pamięć“.

A uśmiech radości i zadowolenia zarysował się na aktorskiej twarzy de Groux'a. A trzeba go widzieć. Tę karykaturalną twarz z długim nosem, podobnym raczej do dzióba egipskiego marabu, z długimi włosami. Coś przypomina typ z „Biedermanerzeit“, coś w nim komicznego, jakby żył w okresie Offenbacha.

Connobi Rops (znałem Ropsa) to słowo wstępne do artykułu de Groux'a o swym nauczycielu. Ale nie tylko Ropsa znał. Jego obrazy zdradzają, że zbyt ostro wpatrzył się w Rubensa, Wierza, że przebywał w otoczeniu, Odilona Redona, Oskara Vildego, Whiztlera, może i Budelaira i Verlaina w atmosferze kaszyszów i absyntów. Że był uczniem Ropsa to trudno chyba z prac jego poznać. (C. d. n.)

Florencya.

Jan Betcikowski.

SAMO SŁOŃCE

DRAMAT — 2 AKTY.

Węzeł dramatu. — Podanie — legenda.

Za wzgardzoną Miłość Bogini mści się na rodzie Aleksandra. — Narzędziem zemsty — Elis — Piękna, urocza — ale jednocześnie straszna! W jej ustach jad, jej pocałunek zabija — Bogini wychowuje ją w idei zemsty za wzgardzoną Miłość.

Przypadek zdarzył, że Aleksander, wybiegłszy w góry, spostrzegł Elis — Podobała się mu, więc każe ją przywołać na swój królewski dwór — Bogini rada, że się plan zemsty dokona, prowadzi piękną Elis na dwór królewski. — Następuje poznanie i Elis kocha się w Aleksandrze.

Ztąd walka — „Fatum, Matka i bóg sam“ z jednej strony, „Miłość“ — z drugiej. — Zwycięża w pierwszej chwili miłość zmysłowa — Elis nie może się powstrzymać od pocałunku. — Ostatecznie jednak zwycięstwo przechodzi na stronę Boga Jasności — Apollina. — Zabity pocałunkiem Aleksander zmartwywstaje.

Akt I.

Na scenie namiot Aleksandra. — W głębi lesisty pagórek.
Wchodzi Bogini-Matka i Elis.

BOGINI MATKA (*do Elis*):

Czy znasz ty, Elis, Fatum, co gromami pała,
A przed nim, klęcząc, drży natura cała
I dłoń ku niemu wyciąga błagalną
Przez krasną Eos, przez jutrznię chóralną.

ELIS:

Znam, Matko, znam.

BOGINI MATKA:

A czy znasz, dziecino,
Pierś białośnieżną matczyną
I złotoskrzydłe czy znasz kołysanki,
I marmurowych świątyni krużganki?

ELIS:

Znam, Matko, znam.

BOGINI MATKA:

Więc słuchaj: Fatum, Matka i Bóg sam
Dają ci rozkaz: królewski dyadem:
Ma w proch slę zmienić pod miłości jadem.

ELIS:

Wiem, wiem — nadchodzi godzina
Mam zabić — nie nożem, nie zatrutym trunkiem
Mam zabić go pocałunkiem.

BOGINI MATKA:

Masz zabić, masz, — Elis, dziś syna
Filipa — O Filip wzgardził mną...
A jam płonęła świętą łzą...
A jam w mym łonie miała świt
I rwałam go na szczyt
Mych łon... Och, rozkładałam mu ramiona,
Och, Filip to zapłaci krwią.

ELIS:

Wiem, wiem, niech będzie pochwalona
Zemsta —

BOGINI MATKA:

O zemsty, zemsty złotoskalne morze —
Bądź pochwalone, ty oślepiające
Sam Aleksander powołał na łoże
Te dziecię moje powiewne, płonące —
Tę jedną wybrał z cór Hellady,
Która śmiertelne żywi w ustach jady.

ELIS:

Najdroższa matko! przed ogromem czynu
Duch pada i pierś się żarzy...
O pieśni — Matko, daj pieśni
Niech się duch rozmarzy
Niech się duch roześni,
O pieśni, matko, daj pieśni —

BOGINI MATKA:

Chcesz pieśni — dobrze, więc pieśń ja ci dam
Z nad Elizejskich pieśń bram
I powstanie twój duch, jako słońc wielki ruch,
Jak Olimp, co gromami lśni —

ELIS:

Niech się duch roześni
Niech się duch rozmarzy
O pieśni, matko, daj pieśni...
Pierś płonie — pierś żarzy...

BOGINI MATKA:

Chodź, otulę cię ramieniem,
Matczynem otulę wejrzeniem
I ogniem wieszczym zabucham.
Chodź, słuchaj —

ELIS:

Idę, słucham.

BOGINI MATKA:

Już słońce przeszło za południe,
Więc śnij dziecino, śnij bez zmory
My w kraju, gdzie pod tęczą cudnie
Bogowie wiodą rozhowory,
Bogowie wiodą rozhowory,
A jasność płonie nieskończona
A przez cieniste mknie wieczory,
Łabędzio-skrzydła, łódź Charona...
Promieni jasność nieskończona,
A śród cyprysów lśnią kolumny
I jasnych bogiń świecą łona,
I świeci błękit słodkoszumny...
W cieniach cyprysów lśnią kolumny,
A chyże fauny gonią w gajach,
A nad jutrzenką Jowisz dumny,
A lotne nimfy przy ruczajach...
Miedziane fauny gonią w gajach,
A ciche pieśni płyną ludnie
I o złocistych gwarzą majach
Na szczerosine mkną południe...
Świetlane pieśni płyną ludnie,
A sny skrzydlate śnią bez zmory
My w kraju, gdzie pod tęczą cudnie,
Bogowie wiodą rozhowory —

ELIS:

Mów, matko, pierś się żarzy
O pieśni z pól, z ołtarzy. —

BOGINI MATKA:

O, Elis — Elis nastaje godzina.

(*W dali brzmi róg*).

ELIS:

Wiem, wiem mam zabić dziś syna
Filipa. — O, złote wspomnienia,
Wy koło bioder palące
Wy jasne i wy ściskające
Zajmijcie znowu sklepienia,
Mych łon i żar przeznaczenia
Niech płonie...

BOGINI MATKA:

Wy wychowawcy tej jutrznianej duszy
Chodźcie i mówcie jej kto naruszy
Miłości boskie sny...
Krwawymi za to spłaci łzy
Aż do ostatnich pokoleń,
Aż do śmiertelnych wyzwoleń.

(*Wchodzi cień Platona*).

CIEŃ PLATONA.

U kochającej duszy wyrastają skrzydła
I cudne święte malowidła
Jak tęcze lśnią nad duszą
I obejmują cały świat...
I pierś się podnosi aż do gór,
Po biodrach szumią echa piór
I z piersi strzela złota dłoń,
I Elizejską mąci toń.

(*Cień znika*).

BOGINI MATKA:

O Elis, Elis, słuchaj, słuchaj,
I świętą zemstą zabuchaj
I przedofiarny podnieś nóż
I pal, i krwij, i burz —

ELIS:

O matko, matko nastaje godzina,
O duchy, duchy, Elis was zaklina
Pomocy!!

(*Wchodzi cień Judei*).

CIEŃ JUDEI:

Miłość świętsza nad Jeruzalem
A twardsza nad cedry sterczące
Tęsknotą i żalem,
Rozrzuca ramiona płonące.
Między wieczorem, a rankiem,
Po gajach się tuli milczenie.
A z ziemi gwiazdami, iskrami
Promienne wytryska nasienie.
I wtedy widać jak cienie
Do cedrów podobne libańskich
Z hymnami mkną za księżyce
I do oczu ścielą się pańskich.
A Panem owłada marzenie
I marzy sam Bóg Izraela,
A z ziemi wytryska nasienie,
A noc się w snach rozaniela.

BOGINI MATKA:

O, Elis, — Elis — nad Jeruzalem,
Miłość świętsza nad świątynie,
A on pogardził mym żalem
Wzgardził miłości koralem
I zginął — i syn jego zginie!

ELIS:

O sił mi, sił, bogowie!!
(Wchodzi cień Safony).

BOGINI MATKA:

Słuchaj, słuchaj, co ci Safo powie.

CIEŃ SAFONY:

Na pierwszy dzień przysięgam słońca
I na ostatni słońca dzień,
Na potępionych płacz bez końca,
Na Elizejski wieczny cień —
Na jasność klnę się sfer gwiazdzistych
I na kwitnących mirtów gaj,
I na blask oczu promienistych,
Na błogosławiony klnę się raj.
Ja miłość wołam, kochająca:
Wy nieśmiertelni, wy bez końca.
I będę wołać wśród płomieni:
Wy święci, wielcy, ubóstwieni!
(*Przechodzi cień*).

BOGINI MATKA:

O Elis, Elis — słuchaj, słuchaj,
I świętym ogniem zabuchaj.

ELIS:

Dość, dość — już moc mam, już
Podniesion przedofiarny nóż.
I tam, gdzie królów świeci tron
Kieruje krok skrzydlaty zgon.
O, Aleksandrze! ty, co z namiotu
Rzucasz spojrzenia sokolego lotu,
O, Aleksandrze! królewski dyadem,
W proch się dziś zmieni pod śmiertelnym jadem.

(Matka i Elis modlą się cicho. W dali świta królewska).

CHORUS:

O, jak pięknym on jest, gdy z namiotu
Strzeli oczyma sokolego lotu
I zasłonę roztrąci żelazną prawicą
I wyjdzie, jak Jowisz, tchnąc błyskawicą
I da znak ręką, a z ciemnych ogrodów
Wyjdą śpiewacy, — płomienie narodów,
I błyśnie okiem, i falangi błysną
Ruszą z łoskotem i jak morze prysną...
On boski, boski, gdy wyjdzie z namiotu
Na kształt lotnego z nad Olimpu grzmotu.

(*W dali Aleksander z Arystotelesem*).

ELIS (*jak przez sen*):

O, jak pięknym on był, gdy z namiotu
Strzelił oczyma sokolego lotu
I zasłonę roztrącił żelazną prawicą,
I wyszedł, jak Jowisz, tchnąc błyskawicą.

BOGINI MATKA:

O Elis, Elis, nastaje godzina

ELIS:

Wiem, wiem

BOGINI MATKA:

O Elis, Elis — matka cię zaklina
Spełń rozkaz —

ELIS:

Znam rozkaz, znam moc łona,
Niech będzie rozkosz pochwalona.

CHORUS:

Masz objąć go i pieścić masz
Na twoją i na boską cześć,
O, ty mu usta wonne dasz
I Elizejską podasz wieść. —
Zielone wieńce masz mu spleść
I na królewskie łoże doń
Na twoją i na boską cześć
Masz złożyć dziś dziewiczą skroń!

(Trąby. — Kobiety stoją na uboczu).

(Arystoteles i Aleksander już blisko):

ARYSTOTELES:

Czynić, cóż czynić? wielcy są bezczynni
W dnie zwykłe — oni ludzie inni...
Oni wybrani. — Ale gdy jutrzenka
Zapłonie sławy — wtedy ręka
Bohatera uderzy, jak gromem
I świat uklęknie przed mocy ogromem.

ALEKSANDER:

Jutrzenka sławy! o, mój mistrzu drogi,
Za jutrznią sławy promienieją bogi
I duch doznaje jakichś dziwnych znamion...
Promienne skrzydła odczuwa u ramion,
Tajemne duchy wieńczą mu skronie
I wyobraźnia lśni, płonie
I tak się zdaje, że wszystkie rozkosze
Od pierwszej jutrzni, aż do ostatniej
Przez ciało płyną, a Bóg w bratniej
Czułości zrzuca ziemskie nosze. —

(Zamyśla się).

ARYSTOTELES:

Nie unoś się królu!
Wielcy spokojni,
Powolni w ruchach,
Wielcy w wielkość zbrojni — —
Wszak się unosić zbytecznie
Tym, co żyć mają bez końca — żyć wiecznie.

ALEKSANDER (*zamyślony*):

O mistrzu, mistrzu. —

CHORUS:

Jak złota gwiazda z nocnych głusz,
Jak sen, co myślą wiecznie targa,
Jak rozjęczała serca skarga,
Tak świeci pani jasnych dusz —

(*Aleksander się ogląda*).

BOGINI MATKA (*chyli się i Elis się chyli*).

ALEKSANDER:

Ach, Elis — Elis. — Prawda! Zamyślony
Uniosłem się myślą tam, gdzie lśnią korony
Wieczystych sław — Patrz, mędrcze, patrz —
Wczoraj wybiegłem na skałę odludną
I na brzegu srebrnego strumienia
Ujrzałem ją lekką, powiewną i cudną,
Pełną boskiego wejrzenia.
Patrz! przez jej postać natura lśni cała!
Jej pierś, to kopuła Olimpu wspaniała,
A nad piersią, jak jutrznia, jak tęcza,
Falowatych ust linia się dziwnie wywdzięcza.

(*Zbliża się do Elis*).

Patrz! po jej ciele ręka słodko płynie
I zda się w dali nieskończonej ginie,
Na liniach jej bioder skrzydlate Amory,
Na jej goleniach różane ubiory,
Jak gdyby nocna sprowadzała cisza
Tam boskie oko samego Jowisza!

(*lubuje się i patrzy w milczeniu*):

O Elis, Elis — ty piękna, ty cicha
I nieskalana w pysznej rozkoszy — —
Ty jasna — ty, której nie spłoszy
Cień bachanckiego kielicha.
O jakżeś piękna, ty cicha!
O, błogosławię wstyd twoich lic
I błogosławię kształt twego łona —
O, Elis, przyjdziesz do mnie śnić.
O, Elis bądź pochwalona!!

ELIS:

Samo słońce, samo słońce!
Ja w czarach, ja w blaskach, ja śnię,
Nie zbliżaj się, panie mój, nie!

ALEKSANDER:

O Elis, Elis roztulaj, rozhulaj,
I całuj, i pieść
I na królewską, i na boską cześć
Rozłóż ramiona kwieciste,
O Elis, Elis — ty boskie, ty czyste.

ELIS:

O sił mi, sił bogowie!

ALEKSANDER:

Elis, posłuchaj co król tobie powie.

ELIS:

Samo słońce, samo słońce. —

ALEKSANDER (*już gore*):

Gdy tylko Dyany łuk nad skałą
Wystrzeli złotolśniącą strzałą
I sinych mórz wysrebrzy toń...
Gdy tylko zefir rozskrzydlony
Na mirtach zwiesi swe opony
I z sennych mirtów tryśnie woń,
Gdy chyże Fauny za Dryadną
Pochodnią rozognione wpadną
I zaszeleści smętny gaj
Wtedy do mego wejdziemy namiotu
I wtedy powstaną nam skrzydła do lotu,
I boski zamigoce raj.

ELIS:

Samo słońce, samo słońce,
Ja w czarach, ja w marach, ja śnię.

ALEKSANDER:

O Elis, Elis, to król każe sam.

(*Odchodzi do Arystotelesa*).

Wybacz mi mędrcu, żem odbieżał cię,
Ale oto jestem
I słucham — by za twej wielkiej myśli giestem,
Budować nowy świat.

ARYSTOTELES:

Chodźmy w aleje — chodźmy tam,
Przywykłem od młodzieńczych lat,
Kiedym z Platonem chodził rad,
Dumać w cienistych alejach....

ALEKSANDER:

Za twoją idę wolą

(*Do Elis*):

Elis, żegnaj w Empyreach.

(*Oddalają się*):

ELIS:

O pocałować, pocałować
A potem umrzeć — a potem się schować
W skrzydlatych cieni krainę...
O, pocałuję i zginę!!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

Jan Gliniany-Ligęza.

ZACHĘTA.

Na wiatr krasne rozpiąłem żagle chyżej mej łodzi
I jak strzała pomknąłem po błękitnych fal toni —
Z orłem statku w zawody! dzika wiedźma nas goni,
Bo pogrążyć mię pragnie w mórz otchłannej powodzi.
Ryk olbrzymiej jej piersi już mię zdala dochodzi,
Kosą, w kabłąk zwiniętą, po granitach gwiazd dzwoni,
Huraganem rwie naprzód! w trwożnej lęków agonii
Błyskawicą śmignijmy! wszak my silni i młodzi!
Kiedy ramię wyprężym, jednym wioseł łoskotem
Zostawimy za sobą wód spienione kaskady
I w Raj wpłyniem świetlisty, w kwietne łąki i sady —
Tęcz przeczysta nam błyśnie w oczy łuną i złotem,
Trosk, zwątpienia, rozpaczy w mgłę rozpłyną się mary
Przed jej łukiem promiennym, znakiem siły i wiary.



Helena Kranzlerówna.

LOT.

Rozwijam orle skrzydła. Kędy słońca dumne
Ziemię mierzą spojrzeniem zimnem i wyniosłem —
Szybować będę śmiało i obłoki tłumne
Rozganiać silnem skrzydłem, mem pierzastem wiosłem.

* * *

Jam orzeł przepotężny, wielki, niezmożony
Samotny — tam podemną kotłują ofiary...
Nie spali moich skrzydeł żaden grom czerwony,
Ułożę, niby dziecię, orkan na swe bary...

* * *

Wyżej — wyżej — zawrotnie płynę, pod sklepienie,
Gdzie gwiazdy płomieniste dotykają czoła,
Gdzie paszcz tysiące zimnem ostrzeżeniem woła,
Gdzie wieczne, niezmierzone ściele się Milczenie,

Józef Mirski.

Legenda Sabałowa.

Ociec Sabała, kiej kto smętkowi serce na ościez ozwierał, a dostęp k'sobie dawał, zwykł był tak mawiać:

„A otze! i święty Pietr bez pół dnia gęsie paść musioł“.

Tak tamten zasmentniony zara pytoł z dusom ozciekawionom:

„A jakoze to być mogło, oćce krzestny, Sabało? godojciez a rychło!“ — i nuze jął się mocno uwazować.

A Sabała na ten cos wzion prawić:

„Pod cos, kie jesce Poniezus po ziemi judzkiej z apostołami chadzoł, oni bacący Mistrza cuda zywe cyniącego, zawidzili mu onej i sami moc tę posiąść kcieli, zasie pomiędzy nimi święty Pieter nabarziej, ile ze mioł zawdy pochop sielny do cynów wselijakich.

„Tak tedy Poniezus ukrycie ich myśli a chęci nieświęte przeziereją̨c, peda roz do Pietra:

„Ano, Pietrze! dzisiaj ty bandzies Ponem Bogiem“.

I pośli w ziemie zydoskom, jako ze nieroz Poniezus z Pietrem we dwoch wędrowali:

Pieter zaś uradowan był walnie w sercu, ize Bogiem jest z łaski Poniezusowej...

Idom tedy, idom, az tu gazda nie-gazda, a jakieś kiele ptecki wozem sie wiezie.

„Kanyz jedzies“ — pyto Poniezus.

„Do asyntyrunku“ — prawi ten — „jadę“.

„A kaz konie ostawis?“

„Kazbyk je mioł ostawić? niech ik ta Pon Bóg pilnuje?“

„Widzis“ — peda Poniezus Pietrowi, — „twój trud a powinność, boś ty dziś Bóg“.

Ano! dobze niebarzo, idom dalej.

Na drodze pode kzyzem niewiesta jakosi siedzi starucha, bosa, w kosulinie na łachy ozdartej, — i płace gorzko a rzewliwie.

„Cemu płaces?“ — pyta Poniezus.

„Jakozbyk płakać nie miała? Córuś wygnali z chaty“.

„A cóze pocnies?“

„Oj! Jezu! Jezu! A juz ta nie wiem... Chyba, ze Bóg poratuje“.

„Słuchoj!“ — mówi Poniezus znów Pietrowi — „twój trud a obowiązek, bo ty dziś Bogiem“.

Ano! jesce delej idom.

Napotkali dziewcynę — pasterkę, jako gęsi stado przed sie pędząc, głosała sobie:

„Pisę ja se liścik carnym atramentem,
Psecytas go Józuś z płacem i lamentem“.

„Kany je zenies?“ — pyta Poniezus.

„Spiesno mi“ — rzece ona, — „bo mi sie dziś siostra wydaje, tak casu ni mom na bacenie. Bozej je ostawie opiece i łasce. Niek ich ta do wincora pilnuje!“ — i pobiezała prec...

Tak tedy musioł święty Pieter bez pół dnia gęsie paść, choć mu ta i markotno było, zasie potem z serca swojego Poniezusa o przebacenie błagał, za kolana go obłapiający, iżby mu grzechów odpuścił.

Śmierć ostatniego papieża (Piotra II).

Echo salwy armatniej zakołysało chwiejnymi sufitami Watykanu. Salwa głosiła, że książę tego świata, w pełni sławy wyszedł na plac św. Piotra. Salwie odpowiadały wołania bezbrzeżnych mas — wszystkich, na których widniało piętno Zwierza.

W ginącym w głębi pokoju, jedynym zaludnionym w pałacu, sześciu starców stało na kolanach: czterech pozostałych przy życiu kardynałów, ostatni oficer papieskiej gwardyi, i zatopiony na klęczniku, nieruchomy, tonący w ekstazie, Piotr II., Rzymianin, papież umierającego czasu. — Powoli, z widoczną trudnością papież przerwał modły i spojrzał dokoła. Pięciu starców wycieńczonych trzydniowem i trzynocnem wyczekiwaniem drzemało — i papież szepnął jak Ewangelista Łukasz: „Wstańcie i módlcie się, abyście nie wpadli w pokusę“.

Jęcząc papież wstawał, a starzec-oficer go podtrzymywał... i tłum mógł widzieć, jak w sakramentalnem oknie, wychodzącem na plac Watykański, stał arcykapłan i śledził wzrokiem za uroczystym pochodem Antychrysta i prosił Boga o cud.

Tron Syna-Zwierza wznosił się wprost przed portalem św. Piotra. — Wiatr kołysał chorągwie złote, na których widniały sześciokątne gwiazdy, znak Zwierza i jego liczba. Żołnierze i poddani księcia tego świata mieli ten znak na prawej ręce, oficerowie zaś jego na czole, a on sam miał gwiazdę sześciokątną na lazurowym płaszczu.

Przed tronem Antychrysta na obszernej, pustej przestrzeni otoczonej żołnierzami, leżały dwa niepodnoszone, wyrzucone trupy: ciała proroków Jonasza i Eliasza, jako było przewidziane w Piśmie:

„I gdy przestaną świadczyć, Zwierz, wychodzący z bezdeni, porwie ich w bój, zwycięży ich i zabije“.

„I zostawi ich trupy na ulicy Wielkiego Miasta“.

„I na trupy ich będą patrzały mnogie narody i pokolenia i języki przez trzy dni z połową, i nie pozwolą na zamknięcie Ciał do grobu".

Książę świata tego nakazał, by się nikt nie zbliżał do Ciał pod strachem śmierci. — Żołnierze mieli strzelać do każdego kto stanie nad Ciałami i zacznie się modlić...

I oto przeszły trzy dni i trzy noce i połowa czwartego dnia. Książę świata tego w pełni przepychu przybył na plac Watykański, aby po raz ostatni rzucić okiem na nieżywotne ciała proroków, albowiem od wieków napisano:

„A po trzech dniach z połową wszedł w nich duch życia od Boga i stanęli na nogi swoje, a wielki strach naleciał na patrzących".

„I usłyszano z niebios głos gromki, wołający ich, i oni poszli ku niebu po obłokach na oczach nieprzyjaciół swoich".

Książę świata tego zaklął się, że ciała nie zmartwychwstaną, że słowa Pisma Św. nie staną się ciałem. I tryumfująco spozierał na te dwa trupy, leżące na bruku, bez tchu, bez ruchu — twarde, zimne, shańbione.

A tymczasem w oknie przeżytego pałacu stał ostatni sługa Kościoła i czekał cudu... jeszcze cudu.

Ale napróżno spadła siódma pieczęć, napróżno znaki latały po niebie i grasowały rany po ziemi — ślepota ludzi okazała się nieuleczalną. Wielka Rozpustnica przyciskała do olbrzymich piersi królów i kupców, rozpływających się w rozkoszy.

Ludzie dotarli aż do centralnego ognia ziemi i sama ziemia z olbrzymiego wnętrza podpalała wymorzone piece. Ale wraz z ogniem centralnym szedł dym zachmurzający słońce i mór, i jakieś nieznane zwierzęta-męczyciele. — I ludzie szukali łapczywie śmierci — a śmierci nigdzie nie było.

I właśnie podówczas uorganizowała się władza Antychrysta. Ona pysznie świeciła światu i ludzie kłaniali się jej nizko, dziwując się i szepcząc: „Ktoż podobny do Zwierza? Kto zdoła z nim walczyć?". I jako przewidział Apostoł, Zwierz czynił wielkie znaki. Za nim szedł ogień z nieba — on opanował

elektryczność atmosferyczną — władza jego nie miała granic — pycha jego nie miała końca.

Wszyscy na ziemi byli nim zachwyceni — rozumy wszystkich uznawały tylko to, co ziemskie, co bogate, co rozkoszne.

I koniec świata się zbliżał. — Spirytystyczne wywoływania umarłych nabrały wielkiego głosu. — Granice między życiem a śmiercią znikły i wskutek monstrualnej mieszaniny światów umarli błądzili jawnie między żywymi i księcia tej ziemi otaczały Duchy.

Ale te spirytystyczne zaklęcia odniosły całkiem nieprzewidziany skutek. — Powstawali z grobów nietylko przyjaciele, ale i wrogowie — i Jonasz, i Eljasz. — I prorokowali, całe tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, aż zdało się Antychrystowi, że zwyciężył ich i zabił.

Oto oni leżeli na oczach narodów, martwi, nie pochowani już całe trzy noce i pół czwartego dnia. — Chociaż Piotr II. się modlił, chociaż wołał cudu — męczennicy nie podnieśli oczu.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

I pełen rosnącej dumy, Antychryst począł znieważać ciała i chełpić się ze zwycięstwa — a w Watykanie rósł płacz.

Papież wspomniał, że zgodnie z tradycyą on sam, ostatni papież zginie z rąk syna Zwierza. — I Piotr II zrozumiał, że musi umrzeć, aby spełniło się pismo.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tłum rozstąpił się i umilkł. — Papież podtrzymywany przez ostatniego oficera gwardyi, w towarzystwie czterech ostatnich kardynałów — szedł na śmierć. — Skierował swe kroki wprost ku rozwalonym trupom, aby odmówić nad nimi zabronione modlitwy i zakląć ich imieniem Boga żywego, aby wstali i chodzili.

Wtedy Zwierz dał znak, rozległa się salwa i pięciu starców upadło twarzą na ziemię.

Ale papież Piotr II oparł się jeszcze drżącemi rękami o ziemię i wstał na kolana, błogosławiąc ciała dwóch proro-

ków prawą ręką, na której błyszczał pierścień rybaka i wyszeptał słowa Nicejskiego symbolu.

I nagle głos jego nabrał Mocy panującej.

I w chwili, gdy ostatni papież padł bez duszy, Jonasz i Eljasz wstali z martwych, ziemia zadrżała, olbrzymia błyskawica objęła Wschód i Zachód i świat nagle ruszył ku Wieczności.

Stanisław Maciszewski.

W TOPIELI.

Lęk stanął nagle między nimi...

Uczuli, że do czółna, w którem woda rozerwała szczelinę, wsiadł ktoś trzeci...

Zamilkli, bo przegrodził ich jakiś mur oziębłości, której dotychczas w przyjaźni nie zaznali. Spochmurniałe ich twarze rozdzierał chwilami błysk niepokoju, zapuszczający coraz głębiej pazury w ich dusze...

Nie uspakajali się wzajemnie, bo czuli, że słowa wobec głębin topieliska są pustym dźwiękiem, nie krzyczeli, gdyż wstyd i zapoznana bezowocność wysiłku, wtłaczały im głos do krtani... Zrodzona w nich tajemnie świadomość tego, co musi stać się za chwilę — gdy woda odwróci czółno, dojrzewała zwolna... Patrzali niemo w ciemną toń, przygotowując się w duchu na tę chwilę, i powierzając własnym siłom...

Wiedzieli, że stać się musi...

Woda, mrucząc łagodnie, wznosiła wyżej i wyżej.

Żaden nie miał sił dokończyć myśli, iż nic się nie zmieni, tylko on umrze...

Plusk...

Urwany, straszny, dziki krzyk bez słów.

A potem cisza...

Wpadli w zimną toń, i ogarnęła ich woda... woda... woda...

Zaczęli tonąć.

Nad otchłanią jęły się rozkrążać koła coraz szersze, coraz liczniejsze, aż dobiegły w drobnych łuskach do brzegu... Czółno spłynęło z prądem — łoskot wzburzonych fal rozbił się o powietrze, poczem milczenie zaległo wybrzeżne pustkowie, targane niekiedy przez wiatru poszum, grający smutnie na liściach szuwarów, i gałązkach nadwodnej wikliny...

Między przyrodą a człowiekiem rozwarła się przepaść. A w łonie martwej topieli wrzały dwa ludzkie mózgi ukropem pragnienia życia, dwie ludzkie dusze opętał dziki przestrach i rzucał w nie iskry rozbudzonych instynktów, dwa żywe ciała rozprężały się w kurczowych gwałtownych ruchach i twarze wykrzywiały wyrazem strasznego wysiłku...

Szemrał wiatr i szeptały wikliny, a cicho i w błyskawicznych obrazach przesuwała się w ich duszach cała przeszłość i przyszłość, i twarze osób blizkich, lub kiedyś w życiu przelotnie widzianych, a jakiś dziki wewnętrzny krzyk gdzieś w głębi duszy, jak protest przeciw brutalności przyrody rwał się i rozsadzał ich piersi, i mózg przygniatała krystali-

zująca się w pewnik świadomość, że wszystko co jest po nad nimi, istnieć będzie tysiące lat, i miliardy stworzeń odwloką swój proces śmierci i zasuną go w mgły przyszłości, do których nie sięga się myślą — tylko ich, ich za chwilę już nie będzie.

I czuli, że wobec życia, wobec gorączki pragnień istnienia, wszystko jest niczem. Stawało im się jasnem, że istnieje w naturze tylko jedna miłość, mocna jak śmierć, miłość samego siebie. I cały ogrom egoizmu natury w walce o byt, wszystkie jego przejawy i drgnienia rozpryśnięte na niezliczone atomy odczuli nagle w tym słupie wody, co wtłaczał ich ciała w bezlitosne topielisko...

Zimno mroziło szpik w ich kościach, krew stygła im w żyłach, oczy wysadzał z orbit potężny lęk, a przez uszy i jamy nosowe wlewał się w krtanie duszący, gorzki płyn... Zębami kaleczyli obrzękłe wargi, pokurczonymi palcami zatykali uszy, bezprzytomnie otwierając usta, i wyprężali w bezsilnej wściekłości członki kostniejących ciał, opętani przez rozszalałą trwogę i bezmierną chęć życia...

I opadali coraz niżej pod naciskiem wiru... ku żwirom dna...

Aż odbili się...

Na wód szklistej szybie, rozpłynął się jeden szeroki krąg, potem drugi i trzeci i dziesiątki, zakotłowało w głębi, jak gdyby moc dna, powstawszy z łoża, otrząsnęła się ze snu, i oto ścianę topieli przebiły gwałtownie dwa długie ramiona, drgające bolesnym kurczem — a palce skostniałe poczęły spiesznie uderzać w pustą przestrzeń, chwytać powietrze i wpijać się paznokciami w skrwawione dłonie...

A potem wysunęła się głowa, wciśnięta w ramiona i oślepiona pasmami włosów... Ruchem rozszalałej trwogi wyprężyło się ciało, i topielec resztkami sił jął płynąć ku brzegowi... Tuż za nim sterczały ramiona drugiego topielca i twarz straszna z rozwartemi ustami, z których woda tryskała strumieniem...

Wypłynął z trudem do połowy piersi, otrząsnął włosy z potoków topieli, skurczył się w sobie i rzucił gwałtownie na grzbiet toni...

I nagle ryknął.

Milczenie...

I ryknął po raz drugi.

Milczenie...

Tracił świadomość — wył już — wył —

Oczy jego krwią spłynęły i trysnęły płomieniami zwierzęcej wściekłości...

I tak ryczeli, jak szalone zwierzęta, aż spojrzeli na siebie...

I na chwilę ogarnęła ich jasność wielka tak, że poczęli pytać się przerażeni:

Jak staną przed nią?

Jak tacy wstrętni, wydzielający ohydną ciecz z ust, staną przed nią świetlaną.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zanurzyli się.

Ale za chwilę wydarły się znów na powierzchnię dwie twarze pokurczonych, ginących jestestw.

— — — — — — — — — — — — — — —

I nagle podniosło się jedno ramię i spadło jak młot na oślepione włosami, bielejące źrenice.

Szerokie kręgi poczęły rozpływać się ku brzegom...

Na dalekiej wieży zadzwoniono...

I oczy wiernych dojrzały gdzieś w głębiach duszy anioła...

A tymczasem na topielisku konwulsyjne ramię spadało, jak młot na oślepione włosami, bezbarwne już źrenice.

— — — — — — — — — — — — — — —

O, silne zwierzę jest dotąd w człowieku.

O, dusze, co korzą się w rozszalałym lęku przed zwierzęciem w człowieku są dziećmi niewoli...

Człowiek jest helotą trwogi.

OCENY.

Tajemnice — Józef Mirski — (Lwów. 1904. Księgarnia polska. Warszawa E. Wende i Sp.).

Muzyka — przedewszystkiem Szopen, na którego się pan Mirski prawie na każdym kroku powołuje (z wyjątkiem jednego „Warum" Schumanna), to niejako tło „Tajemnic", zbiorku lirycznych wierszy, powstałych bezpośrednio i niemal wyłącznie pod wpływem tonów, będąc niejako zewnętrznem ich odbiciem w obrazowaniu poetyckiem, a zarazem interpretowaniem myśli, stanów i nastrojów uczuciowych, przez grę pobudzonych.

Suma wrażeń, jakich doznaje się pod wpływem muzyki, naturalnie u każdego jest inną; zależy to bowiem od zrozumienia jej, od indywidualnego ustroju psychicznego, od większej lub mniejszej wrażliwości, jakoteż i od zdolności w pobudzaniu wyobraźni tonami i zastępowania ich słownemi wyrażeniami.

Że pan Mirski rozumie i odczuwa muzykę, widzieć to można aż nadto dobrze — nie będziemy się tu także o to spierali, czy pod wszystkie utwory muzyczne z jednakowym skutkiem i siłą podstawione są zdania, myśli i uczucia zawarte w „Tajemnicach", zaznaczyć tylko trzeba, że miejscami razić nas musi, przez to właśnie powoływanie się na muzykę, jakaś dziwnie niewytłómaczona mglistość, poplątanie wrażeń i jakby umyślna niejasność w oddaniu bezpośredniego uczucia i to w utworach tak przecie jasnych, jak np. „Mazurki" Szopena, a zarazem także pewna niemelodyjność i brak rytmiki w miejscach prawie najniezbędniejszych.

Nie stosuje się to naturalnie do wszystkich wierszy zawartych w tomiku; mamy tu bowiem na myśli zaledwie najmniejszą ich część, która przez te właśnie usterki ogólne wrażenie „Tajemnic" osłabia. A wrażenie to — przyznać musimy — jest wcale głębokie, pełne wewnętrznego znaczenia i siły, spotęgowane czasem wprost doskonałemi wyrażeniami w utworach o bogatych kształtach, pięknem obrazowaniu poetyckiem, pisanych z prawdziwym talentem, uczuciem i szczerem natchnieniem, a miejscami z jakąś dziwną pieczołowitością i ukochaniem. Takie np. wiersze, jak „Ogród", „Pieśń pszczela", „Sny", „Ślepiec", „Z mroków", „Na czatach", „Eros", pewne miejsca w „Snach dziewicnych" i t. d., a przedewszystkiem skończenie piękne „Z duszy chłopskiej", w którym słychać muzykę, szum lasu, czuć całą boleść i rozpacz chłopa ginącego z głodu na sznurze przy jękach dzwonów i zawrotnych tonach muzyki weselnej, prawie, że nowe pod względem ekspresyi i odczucia (nic z banalnych śpiewek chłopskich pana Laskowskiego) w dosko-

nałej formie i rytmice, pozwalają spodziewać się w przyszłości po p. Mirskim rzeczy już skończonych; talent bowiem jest i to wcale nie pośledni.

Należy się tylko wystrzegać wyrazów pospolitych i naciąganych do rymów, a czasem wprost błędnych („skrzydlasta“ i tym podobne).

Tomik ułożony pięknie i starannie wydany.

Adam Stodor (Atlantyda, Z cichych tragedyi). Lwów. 1904 r. Księgarnia polska.

(wb) Nic wielkiego nie wypowiedział autor w pierwszym tomiku. W Atlantydzie czuć obcą nutę, nutę zapożyczoną od Kasprowicza, Tetmajera i miejscami od Stanisława Brzozowskiego: „Przychodzisz lekka, powiewna, świetlana“ i t. d. Mimo wszystko z żalem się odkłada książkę, taka jakaś nić sympatyi łączy nas z autorem.

„Atlantyda“ pod względem koncepcyi artystycznej poprawna, pod względem formy chwilami bardzo sztuczna, robi wrażenie, jakoby pan Stodor dobrze się nad nią namęczył. Pozatem wiersz nie wszędzie wyrobiony, lubo widać w tym kierunku starania, zwłaszcza w wyszukanych rymach.

O wiele lepaze są „Ciche tragedye“. Lecz i tu forma zostawia wiele do życzenia, zwłaszcza w pierwszych dwóch nowelach: „Sfinks“ i „Cud“; wprawdzie „Sfinks“ w fabule jest trochę banalny, ale zato nagradza napięciem sytuacyi i dobrem wykorzystaniem stanów psychicznych bohatera.

Ciężkim zarzutem jest ciągłe opadanie autora, stąd też rodzą się niesmaczne nawet wypowiedzenia, które osłabiają wartość utworu. Najwięcej ich w „Cudzie“ w scenie np. ze służącą. „Służba to bydło“ wykrzykuje autor i niby na potwierdzenie tego służąca z takim trzaskiem zamyka drzwi, iż zachodzi poważna obawa, by nie zbudziła śmiertelnie chorej pani. (Wątpię, czyby autor cierpiał taką służbę).

Piękne są „Dwie chwile“ i w całym zbiorku stanowią najbardziej przemawiającą „cichą tragedyę“, nawet cokolwiek romantyczna scena na cmentarzu nie osłabia wrażenia.

„Ona“ pomysł i wykonanie dobre.

Gdyby tak pan Stodor wyzbył się wad, przy swoich pomysłach stworzyłby osobny typ w literaturze, gdyż istotnie pomysły ma piękne, tylko wykonanie słabe.

(fd.) I „zląkł się syn szlachecki“ zląkł apostoł zgody chaty z dworem, widmo 46 r. wstrząsnęło jego nerwami — upiorne pogłoski o mniemanych nożach wzniesionych przeciw Polakom w kołomyjskiem, śniatyńskiem, kossowskiem, o zawziętych walkach żywiołu ruskiego przeciw polskiemu napełniły go lękiem, pokorą i uznaniem potężnej a czułej opieki bagnetów austryackich. I okazało się wkrótce, że to tylko „tam — tam“ szowinistów polskich uderzyło niepotrzebnie na alarm. Najpoczytniejszy obok „Wieku Nowego“ dziennik galicyjski, który najwięcej alarmował i na plac boju specyalnego korespondenta wysłał, doniósł, że wogóle bajką jest, jakoby Huculi Lachów nienawidzili. Aresztowano pijanego chłopa i on jeden reprezentował całe Zaporoże. Jakto a groźne organizacye? Zbroje? Komendy?“ I okazało się, że „Sicze“ to stowarzyszenia gimnastyczne straży pożarnej z charakterem nadzwyczaj szlachetnym, moralnym, śmiejące się z ruskich szowinistów, po głowach których chodzą niejasne majaczenia o ideałach wszechludzkich“.

A refleksya? Jakże się zachowujemy wobec tego „bratniego narodu“ Rusinów? Cóż dzieje się z zasadą Unii lubelskiej „wolni z wolnymi, równi z równymi“? Zdaje się, że „ausrotten“ hakatystów niemieckich stało się hasłem klasy Polaków, mogącej wpływ na sprawy ruskie wywierać, hasłem szowinistów polskich względem Rusinów. Czyż nie sami „wywołują wilka z lasu“? Jakże zachowywali się wobec strejku rolnego? Dlaczego dziś namiestnictwo stawia szczególnie chłopom ruskim trudności w emigracyi za zarobkiem? Dla naprawy piekącej tamże kwestyi socyalnej „tworzono (może utworzono!) fundusz do walki z ewentualnym nowym strejkiem i agitowano namiętnie przeciw parcelacyi dóbr między chłopów ruskich“. „W „ogniskach polskości“ Galicyi wschodniej, w kasynach, czytelniach zamiast hasła: myślmy o jutrze — — panuje coraz bezwzględniej dewiza: walczmy bodaj na noże“. Przed grubem kłamstwem nie cofa się nawet siewca światła „Tow. szkoły ludowej“.

Oto z odezwy tarnopolskiej koła przytacza „Diło“: *W najdawniejszych czasach Galicya wschodnia była krajem zupełnie polskim. Nie zaprzeczają tego sami Rusini(!?) a nawet ich kronikarz Nestor“ etc.* I tak co bądź, byle uzasadnić pożarcie. I drwi p. Feldman słowami Słowackiego:

„Kto i gdzie zagroził nożem...
„A tyś zląkł się syn szlachecki“.

Dr. Daszyńska omawia kwestyę rolną ze szczególnem uwzględnieniem Krzywickiego „Kwestyi rolnej“. Krzywicki zwolennik doktry-

ny Marksa o równoległym rozwoju rolnictwa i przemysłu fabrycznego, z 12 letnich swych studyów nad tą kwestyą — nie uwzględniając najnowszych badań w tej kwestyi (David) — nie wiele wysunął się za szranki mistrza. Opierając się na porównaniu fermy amerykańskiej ze stepem podolskim doszedł K. do dwóch wniosków: 1) wyższości wielkiej produkcyi nad drobną; 2) centralizacyi w handlu produktów rolnych i rolnego przemysłu przetwórczego. Obydwa te twierdzenia rozpatruje Daszyńska z osobna. Zaznacza przedewszystkiem nieracyonalność opierania się na nadzwyczaj skomplikowanych i ustawicznie się zmieniających stosunkach Ameryki, gdyż zaprowadziło to już Malthusa do błędnej teoryi o przyroście ludności. Co do pierwszego wniosku, opierając się na najnowszych badaniach wykazuje p. D., że intensywna praca drobnego włościanina, z podniesieniem tegoż kultury, będzie daleko wydatniejszą, gdyż koszta produkcyi są przy tym tempie gospodarki daleko mniejsze; rolnik bowiem obchodzi się ze wszystkiem staranniej, nad wszystkiem może osobiście czuwać, „sprzężaj" lub mała maszyna są daleko korzystniejsze, niż olbrzymie machiny a wielką korzyść przynoszące (n. p. olbrzymie młocarnie) mogą stanowić wspólną własność gminy. Przykładem Skandynawia. Drugi wniosek p. K. nie ulega wątpliwości.

Sprawę nadzwyczajnej doniosłości dla Polaków, sprawę przybytku wolnego słowa, wolnej nauki, sprawę „Wolnego polskiego uniwersytetu wakacyjnego" w Zakopanem omawia dr. K. Krauz. Zestawił szemat podobnych instytucyi u innych narodów, wykazał korzyści, bo ostatecznie „kwintesencyą uniwersytetu wolnego jest, być przytułkiem i rozsadnikiem wszelkiej myśli wolnej, o ile dorosła ona do formy naukowej i w nią się przyodziała; a mało jest przecie narodów na ziemi, gdzieby myśl wolną we wszelkiej formie w takie ujmowano szranki, jak u nas — raz dzięki rządom obcym, powtóre dzięki naszym swojskim gasicielom". F. Kreczowski ocenia powieść Reymonta „Chłopi" a Jan Sten „Akropolis" Wyspiańskiego. W. Mitarski w artykule „Estetyka Książki" zastanawia się nad niezwracaniem uwagi wydawców na zewnętrzną artystyczną formę książki, które to u nas zwłaszcza mają zawsze wygląd zlepionych arkuszy bibuły, brak rzeczywiście pięknych wydań daje się u nas uczuwać dotkliwie.

Przewodnik naukowy i literacki. — Zeszyt V. Maj 1904.

Cel i zakres naszego pisma nie pozwalają nam dłużej zatrzymywać się nad pracami pp. Bronisława Łozińskiego, Kazimierza Szkaradka, Tadeusza Troskolańskiego, Rawity Gawrońskiego, Wołyniaka i ks. Jana

Sygańskiego. Całą bowiem uwagę naszą skupić musi „Młoda Chorwacya“ Tadeusza Stanisława Grabowskiego.

W zeszycie V. p. Grabowski omawia twórczość autora „Mariczona, U nóći i Tri pripovijesti“ p. Gjalskiego. Chcąc poznać duszę jego, musimy zbliżyć się do „Janka Borislavić'a.

Janko Borislavić to najsilniejszy wyraz w pieśni duszy Gjalskiego — ta powieść otwiera nam wrota jej na oścież, ukazuje całą głębię tajemniczą ducha poety, kreśli całą wędrówkę jego myśli, cały raj, czyściec i piekło jego uczucia.

Janko, jak „Faust“ Göthego, przeszedł wszystkie stopnie ludzkiego ducha, poznał wszystkie tajemnice i zagadki myśli ludzkiej, otworzył nieprzejrzaną świątynię przyrody i wszechświata, stanął na jej progu pełen czci i namaszczenia i — omal nie padł od oślepiającego blasku i tęczowych melodyj świateł, i woni, co w drżących kręgach złotej aureoli tryskały dokoła jasnego oblicza bóstwa, skończonego piękna.

Uczony myśliciel, natchniony teolog, głęboki filozof, surowy jurysta — ugiął po raz pierwszy w życiu swem kolano i pochylił dumne czoło, które przed nikim i niczem dotychczas pochylić się nie chciało. Przed widmem świetlanem przyrody i miłości na twarz padł dumny Faust-Borislavić i rozpłomieniwszy w brylantowych strugach przyrody swe zbolałe, obumarłe serce, uderzył w struny poezyi i miłości, zaśpiewał natchniony hymn piękna i uniósł się na skrzydłach niewyśpiewanej pieśni w krainę, jakiej nie znalazł dotychczas na swej długiej, krwawej życia drodze — uniósł się w czarowne zaświaty, których wieczną nutą anielskie pienia dantejskiego nieba, w których oddychasz — nie bladem powietrzem, lecz rozśpiewanemi falami dyamentowych blasków i złotych promieni — w których chodzisz nie po czarnej ziemi, lecz pędzisz i kołyszesz się i płyniesz po gołębich puchach błękitnych obłoków i łabędziem pierzu wiecznie młodej zorzy; — uniósł się w podniebie, kędy pieśń i harmonia, jak różowe mgły wiecznie się snują, świecąc zdala perłami łez czystych i miłosnych spojrzeń kaskadą i uśmiechów brylantowym deszczem i serc kochających się melodyą i cichych szeptów, i uczuć strumieniem.

Janko zabłądził w te nieziemskie krainy miłości i ujrzawszy przed sobą jasne, natchnione oblicze zagadkowego bóstwa, gorący i długi, nieskończony złożył na niem pocałunek... Tu szczęście! — tu raj! — tu wieczny pokój!

Krzyknęła dusza mu w piersi, a drżące serce od nadmiaru radości bić przestało...

Czarne i jasne kręgi w oczach mu się zawróciły, okropne cienie i rozdzierające piorunów błyskawice po mózgu przeleciały — cały drżał i dygotał; szalał w nim duch, tłukło się serce, że znalazł wreszcie to,

czego pragnął tyle czasu, czego szukał napróżno przez tyle lat życia, za czem tęsknił i ginął tyle nocy bezsennych, tyle dni strasznych, bolesnych, rozpacznych. Janko — cel życia znalazł, wszystkie zagadki co w mózg mu się wżarły i duszę — odkrył, wszystkie węzły, co go ściskały — przeciął...

A piękna bogini w objęcia go porwała i ssała zeń pocałunki i zdrój namiętności zeń piła, do piersi go pełnej przycisnęła i paliła go swym ogniem i pętała ramionami i poiła zabójczem tchnieniem i czarowała zaklętą słów muzyką. Janko zginął w objęciach potężnej bogini Przyrody, a kiedy bezwładny i wyczerpany stracił swą całą władzę i siłę, kiedy świadomość i przytomność go odbiegły i zapadł w straszny gorączkowy sen bezpamięci — rozkoszna bogini, w hydrę zamieniając się okrutną, krwawą pianą ciekące wyszczerzyła zęby i wściekłem się roześmiała echem. „Ojcem być musisz! — kochanku luby! — syknęła dzikim, zwierzęcym jakimś zgrzytem, — ciałaś niewolnikiem! — z ciałaś powstał i ciało twym płodem być musi!... Goniłeś senne mary po obłocznych wyżynach ideału, pędziłeś za widmem szczęścia i pokoju i w moje wpadłeś ramiona!... Upoiłeś się — głupcze — haszyszem namiętności, upoiłeś się czarem moich dźwięków, myśląc, żeś spokój znalazł i szczęście i zbawienie dla ludzkości, — lecz wiedz, żeś moje tylko zaspokoił chuci, żeś moje tylko niezłomne spełnił prawa, przed któremi długoś się uchylał! — wiedz, żeś moją tylko spełnił wolę, bom ja tu panią, jam życiem, jam istotą tego świata! Pozamną wszystko nicość — marność — i złudzenie!...“

Jak raniony lew rzucił się Janko i wyrwał z uścisków potwornej bogini. Uszedł w świat i pędził na najwyższe szczyty, gdzie najstraszniejsze szalały wichry i stawiał im czoło i w ich wściekłych huraganach chciał osuszyć łzy swoich cierpień i bolesnych zawodów, chciał zgłuszyć niemi jęki, co mu w duszy, jak dzwony żałosne jęczały, chciał złamać w walce z niemi swego ducha, co wiecznie pędził dalej i dalej i nigdzie nie mógł znaleźć ukojenia, ciszy, kresu.

Lecz napróżno! — ostarzały i zbiedzony, siwy i zgarbiony wrócił wędrowiec nieszczęsny, przeszedłszy świat cały wszerz i wzdłuż — wrócił do progów rodzinnego domu i tu, gdzie pierwsze niegdyś ujrzał światło dzienne, tu go i ostatnie pożegnały dnia promienie, — promienie, co wśród ciszy błogiego pokoju padały jasne i czyste na bolesną twarz Chrystusa, rozpiętego na krzyżu.

Borislavić tedy wraca do przystani, z której wyszedł — do przystani wiary. Życie swe od niej rozpoczął; po ukończeniu szkół został klerykiem. Wiara czysta, dziewicza, niezachwiana ni cieniem niedowierzania lub niepewności, otwierała przed nim tak przedziwne horyzonty ducha, tchnęła w niego tyle siły nadziemskiej, tyle wiary w życie i po-

tęgi duszy i serca, że jako młodzieniec zaledwie 20-letni w podziw wprawiał i porywał swem uczuciem, myślą i wymową najuczeńszych, najsurowszych teologów, przekonywał najtwardszych niedowiarków.

Prócz podobieństwa do Fausta Janko ma wspólne rysy i z samotnikiem Wyspiańskiego — ten sam rodzaj pessymizmu:

błoto i kurz i śnieg,
Marnota — lichość. — Walczą duchy
aż zeszły nad przepaści brzeg...

W „Janku Borislaviću" widzi p. Grabowski problem czysto faustowski, skojarzony z pessymistycznem spojrzeniem na świat i odczuciem przyrody Schopenhauera.

Odpowiedzi od Redakcyi.

(Odpowiadamy za pobraniem marki 20 hl).

Stanisław Kot w R. Pod pewnymi względami nie zgadzamy się z poglądami Szan. autora, ze względu jednak na subtelne odczucie i nowe myśli, przyjmujemy, zastrzegając sobie jeszcze głos w tej sprawie

Ks. S. W. Takie „rozprawy" drukuje tylko „Dwutygodnik katechetyczny" (naturalnie) w Tarnowie.

S. O. Lwów. Nazwisko pańskie stanowczo ma dużo wspólnego z utworami... prawdziwie koszałki. Do kosza względnie... do Słowa Polskiego.

W. Z. Kraków. Wszystko to już było.

Jan C. Zakopane. Pogwizduj pan dalej „z szelestem, jak piasek w klapsydrze" i „bij piętami w parapet okna".

P. BO. Umieścimy w następnych numerach.

P. F. G. Celem naszego pisma, nie jest zachwaszczanie literatury elukubracyami w rodzaju płodów pana Stasiaka lub hr. Łosia.

Ira R. Słabe.

W. Fr. Dobrze. Odpowiemy szerzej w liście.

Naczelny redaktor: **Jan Wadimas Bełcikowski.**
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Karol Kucharski.**
Z DRUKARNI W. KORNECKIEGO W KRAKOWIE.